

Cyfrowa bandera z czaszką

8 grudnia 2014

Jednym z problemów coraz bardziej istotnych społecznie jest kwestia praw autorskich i własności oprogramowania komputerów, cyfrowych postaci filmów i muzyki, udostępniania zdigitalizowanych wersji różnych dóbr użytkowych. Właściwie każdy, kto korzysta z komputera, staje twarzą w twarz z problemem zwanym piractwem. Sprawa nie jest błaha, bowiem w grę wchodzi duże pieniądze, odpowiedzialność karna, a wreszcie kwestia niewymierna, lecz równie istotna – zakres naszej wolności jako indywidualnych osób oraz całego społeczeństwa. Spróbujmy zatem zastanowić się nad kształtem aktualnego ładu prawnego, który dotyczy szeroko pojętej „własności intelektualnej” oraz nad konsekwencjami istniejących przepisów. Problem jest bardzo szeroki i zawiły, dlatego wielu ludzi myli aspekty prawne i przypisuje je złym podmiotom (stąd np. dość powszechne przekonanie, że pliki muzyczne w formacie mp3 są nielegalne – co jest oczywiście nieprawdą). Właśnie z powodu tej niewiedzy istnieje możliwość zasiania w nas ziarna strachu, bo „skoro ja nie wiem, jak to właściwie jest, to możliwe, że jest źle”. Oczywiście jest to błędne podejście.

MITY I FAKTY

Wielu z nas zadaje sobie pytania: Czy mogę trzymać muzykę i filmy na dysku komputera? Czy mogę wziąć muzykę w formacie mp3 lub filmy od kolegi? Czy mogę trzymać nagrania z radio i TV na dysku? Niewiele osób wie, że na wszystkie te pytania odpowiedź brzmi: TAK! Jeszcze mniej ludzi zdaje sobie sprawę, że za te wszystkie formy dysponowania takimi postaciami dóbr kulturalnych płaci artystom, wytwórniom płytowym oraz ZAiKS-owi. Dzieje się tak wskutek specjalnego podatku nałożonego na cyfrowe nośniki danych (takie jak płyty CD, DVD) oraz na sprzęt RTV. Pieniądze z tego źródła są przeznaczone dla twórców oraz wydawców muzyki i filmów jako rekompensata za dozwolony użytek osobisty (czyli za dzielenie się muzyką i

filmami ze znajomymi). W Polsce wynosi obecnie, w zależności od nośnika czy sprzętu, 2-3% jego ceny.

Jedynym, czego nam zabrania aktualne prawo, to udostępniania tych treści w Internecie. Warto zwrócić w tym miejscu uwagę, że ściągając na nasz komputer muzykę czy filmy za pomocą programów tzw. P2P, zazwyczaj jednocześnie udostępniamy (nieraz w sposób automatyczny) aktualnie pobierane pliki, tzn. już posiadane ich części! A to już jest karalne: za rozpowszechnianie utworów, zgodnie z art. 116 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, grozi nam do dwóch lat więzienia, nawet jeśli robimy to zupełnie niekomercyjnie (jeżeli czerpalibyśmy z tego stały dochód – nawet 5 lat). I to właśnie tego typu straszliwy proceder, czyli dzielenie się z innymi muzyką lub filmami, jest najczęstszym powodem oskarżeń o piractwo. Nie zmienia to jednak faktu, że ów problem reguluje prawo cywilne, czyli artysta lub ZAiKS sami muszą pozwać i udowodnić przed sądem winę osoby, która tak uczyniła (to zjawisko już ma miejsce, jednak skala tego problemu jest znikoma). Policja ścigając „z urzędu” takie zjawiska, po prostu łamie prawo!

Artysta z jednej sprzedanej płyty otrzymuje 2-5 zł, w zależności od tego, czy jest początkującym twórcą, czy też gwiazdą. Wszyscy wiemy, że polska muzyka w sklepie kosztuje około 30 zł za płytę. Artysta dostaje zatem 6-15% tego, co płacimy, reszta to marże, koszty dystrybucji, opłaty na rzecz ZAiKS-u (które artysta musi zapłacić) itd.

Od kilku lat funkcjonuje nowy sposób dystrybucji dzieł (Internet i sieci wymiany plików), który jest doskonale dostosowany do obecnych realiów technologicznych i trendów kulturowych. Jednak wielka fonografia (np. organizacja ZPAV – Zrzeszenie Producentów Audio Video) piętnuje Internet i wskazuje, że jest to z natury złe, „pirackie” rozwiązanie. Dlaczego? Powód jest oczywisty: pieniądze. Internet daje artystom bezpośredni dostęp do swoich fanów, a jedyne, co ogranicza ich w kwestii bezpośredniej sprzedaży swojej

twórczości, to umowy z ZAiKS-em, które zmuszają artystę do pozbycia się swoich praw, jeśli chce zaistnieć na rynku muzycznym. Za te praktyki ZAiKS został już ukarany przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

KULTURA UWIĘZIONA

Kolejnym aspektem problemu jest przerażająco długi czas prawnej ochrony dzieł. Wynosi on aż 70 lat po śmierci artysty. Okres ten jest systematycznie wydłużany. Moim zdaniem – podobnie twierdzi też wielu niezależnych teoretyków prawa autorskiego, np. Lawrence Lessing, autor książki „Wolna Kultura” – prawo autorskie obowiązuje tak długo, by w okresie jego funkcjonowania dany utwór już dawno popadł w zapomnienie – jedyna twórczość jaka istniałaby, to taka, która będzie objęta prawami autorskimi.

Prawa autorskie miały w zamyśle tylko na samym początku dawać przychód twórcom (jako uznanie za trud ich pracy), a potem, po wygaśnięciu tych praw, całe społeczeństwo mogłoby poznać dzieło i swobodnie je przetwarzać, aby stworzyć nowe na jego podstawie (to jest właśnie sedno kultury – nieskrępowane prawnie tworzenie na podstawie czegoś innego). Chodzi zatem o monopolizację rynku sztuki, kultury i rozrywki. Gdyby prawo było odpowiednie, utwór przechodziłby do domeny publicznej – tak nazywa się to, że prawa autorskie wygasają i każdy może utwór przetwarzać i rozpowszechniać w imię rozwoju kultury – w rozsądnym czasie, czyli jeszcze wtedy, gdy dzieło nie popadło w zapomnienie.

DRUGI OBIEG

Można dojść do wniosku, że chodzi o coś więcej niż tylko bezpośrednie zyski – o władzę. Władzę nad rynkiem muzycznym, która daje możliwość kontroli tego, co puszczają w radio i tego, co leży w sklepie na półce. Są to wnioski daleko posunięte, ale fakty mówią same za siebie. Wiele jest przykładów komercjalizacji i monopolizacji rynku rozrywki,

zwłaszcza radia. Wielu z nas pamięta Program 3 Polskiego Radia i Radio Bis – teraz nie różnią się one od stacji komercyjnych, mimo że nadal mają „misję” wpisaną w statut nadawcy publicznego.

Piractwo wpisuje się w to zjawisko w ciekawy sposób – jako alternatywna droga artysty do odbiorcy i jako tzw. drugi obieg. Interesujące, że wiele z tych zachowań, np. wspomniane dzielenie się z kolegą mp3-kami, jest legalne, jednak piętnowane (np. przez ZAiKS) z całą mocą. Cel takiej propagandy jest jeden: zmiana prawa autorskiego na bardziej restrykcyjne, czyli takie, które zakazywałoby wspomnianych wcześniej zachowań. Lobbying już się zaczął. Ministerstwo Kultury forsuje kierunek zmian tak silnie broniących praw autorskich, że aż prowadzących na skraj paranoi – teoretycznie może wprowadzić nawet delegalizację posiadania komputerów lub ich komponentów, jak nagrywarki CD/DVD. Jeśli damy sobie wmówić, że coś jest złe, to prawo powinno to piętnować, a my przyjmujemy to ze spokojem, prawda?

PROGRAMY I SYSTEMY

Wielu ludzi myli prawo dotyczące muzyki i filmu (czyli dzieła) z prawem dotyczącym oprogramowania, które jest produktem, nie zaś dziełem. Prawo dotyczące oprogramowania często utożsamiane jest z przedstawionym wcześniej, a więc dotyczącym twórczości. Na szczęście tak nie jest, a owo postrzeganie problemu to efekt pomyłki. Piszę „na szczęście”, ponieważ prawo dotyczące oprogramowania jest bardziej bezwzględne.

Art. 278 Kodeksu Karnego mówi: „§ 1. Kto zabiera w celu przywłaszczenia cudzą rzecz ruchomą, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Tej samej karze podlega, kto bez zgody osoby uprawnionej uzyskuje cudzy program komputerowy w celu osiągnięcia korzyści majątkowej”. Zabroniony jest zatem akt uzyskiwania, czyli kupna, kopiowania itd., ale samo posiadanie już nie. To bardzo ważne, gdyż nikt z nas nie jest zobowiązany przechowywać jakichkolwiek dowodów zakupu. Dotyczy

to nawet oryginalnej płyty instalacyjnej z programem, która mimo iż się zużyje, a mamy jej kopię zapasową, nadal może nam służyć, tj. jej oryginalna zawartość.

Kolejnym ważnym elementem tej układanki są słowa: „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej”. Gdyby chodziło po prostu o to, że kopiujemy program od kogoś, a więc nie płacimy za niego w sklepie, to te słowa byłyby zbędne. Skoro jednak się pojawiły, oznaczają to, że chodzi tylko o przypadki, gdy dzięki temu oprogramowaniu zarabiamy (sprzedajemy, pracujemy na nim itd.). Niestety, te kwestie są zazwyczaj pomijane przez prokuraturę i w sądzie.

Ostatnio dużo słyszeliśmy o „nalotach” policji na mieszkania i firmy w różnych częściach Polski. Wielu ludzi przyznało się do wszystkiego, co im zarzucano, mimo że w większości przypadków nie popełnili przestępstwa, gdyż nie spełnili warunku „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej”. Jednak kampania zastraszania zebrała duże żniwo i policja chlubi się wątpliwymi moralnie sukcesami. Co gorsza, za swoje działania dostaje nagrody pieniężne za bezwzględność (tzw. Złota Blacha) od organizacji broniących aktualnego ładu prawnego.

PRAWO SOBIE, ŻYCIE SOBIE

Problem piractwa rozumianego jako wykorzystywanie do prywatnych celów kopiowanego oprogramowania jest problemem bardziej społecznym niż prawnym. Wynika to z tego, że nikt nie jest w stanie przedstawić jego skutecznego rozwiązania, mimo że skala zjawiska jest ogromna. Cały problem zaczyna się już na początku, czyli w szkołach, gdzie uczy się nas obsługi oprogramowania, na które prywatnie nas nie stać, a następnie każe się nam z niego korzystać w dalszym procesie edukacji, do komunikacji z urzędami, w celach informacyjnych, w pracy oraz promuje się je w rozrywce (np. gry komputerowe).

Człowiek, który kończy edukację, jest przekonany, że ma dwa wyjścia: albo kupić oprogramowanie, które jest wymagane, albo

skopiować je i zaryzykować problemy prawne (wykluczam nie korzystanie z nowoczesnych technologii, gdyż powinno się je uważać za PRAWO człowieka). Gdyby na poziomie edukacji wyartykułować rozwiązania takie jak otwarte standardy i otwarte oprogramowanie (open source) i promować je np. w administracji, to skala tzw. piractwa byłaby znacznie mniejsza, gdyż każdy znałby „trzecią drogę”.

Kolejnym problemem jest liczba platform wspieranych przez producentów oprogramowania (zwłaszcza gier, oprogramowania typu CAD oraz do obróbki muzyki). Najczęstszym przypadkiem jest wspieranie jednej platformy, a nawet jednego systemu operacyjnego – aktualnie jest to Windows XP. Jeśli więc mamy starszego Windowsa lub GNU/Linux, to możemy pożegnać się z uruchomieniem danego programu. Co dziwniejsze, podczas procesu edukacji lub w pracy zmusza się nas do posiadania takowych programów – np. nauczyciele czy wykładowcy wymagają od nas prezentacji w formacie PPT czy bazy danych w MDB. Ten problem ujawnia się bardziej, gdy potrzebne jest nam oprogramowanie specjalistyczne, np. typu CAD. Wtedy jedynym wyjściem jest piractwo, bo koszty zakupu są za wysokie np. dla wielu uczniów czy studentów, wynosząc czasem nawet 10 tysięcy dolarów/rok za licencję studencką (!). Te wszystkie problemy znikłyby, gdyby promowane były otwarte standardy w wymianie dokumentów cyfrowych.

Na szczęście są firmy, które zauważyły te problemy i poprzez współpracę chcą wywrzeć pewne naciski na nasze władze (www.standardy.org).

QUI BONO?

Lista beneficjentów takiej sytuacji jest długa i nie ma sensu wymieniać wszystkich firm i instytucji, które czerpią zysk z monopolii informatycznych oraz piętnowania Internetu jako kanału dystrybucji dóbr kultury. Ważniejsze jest, kto jest poszkodowany i kontrolowany. Głównymi poszkodowanymi są artyści zniewaleni umowami z ZAiKS-em oraz odbiorcy, czyli my

wszyscy, którzy chcemy, aby artyści byli wynagradzani, lecz wiemy, że aby dotarła do nich choć złotówka, musimy oddać 5 zł na rzecz różnych firm i instytucji.

Warto też zauważyć, że projekty Ministerstwa Kultury posuwają się coraz dalej. Przepisy, które proponują, zabraniałyby podejmowania działań zmierzających do egzekwowania prawa do dozwolonego użytku (o którym już pisałem) z treści zabezpieczonych „skutecznymi środkami technicznymi” (czyli tzw. DRM). DRM są to małe programy dodawane do treści cyfrowych (jakimi są mp3 i filmy DVD), które mają zapobiegać ich kopiowaniu. Największym zwolennikiem systemów DRM jest firma Microsoft, której nowy system operacyjny Windows Vista decyduje za nas o tym, co możemy zrobić z naszym komputerem oraz z legalnie nabytą treścią (muzyką, filmami).

Tu należy ponownie podkreślić, że prawo pozwala nam na kopiowanie tych dzieł w celu wykonania kopii zapasowej i dzielenie się nimi ze znajomymi. Czyli prawo mamy, ale... zabezpieczeń łamać nie możemy. Cel jest jasny. Chodzi o zabranie nam naszych praw poprzez legislacyjne sztuczki. Dlaczego Ministerstwo tak bardzo chce ograniczyć prawa konsumentów? Tego nie wiem, ale wiem, że Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Internet Society Poland i inne organizacje chcą bronić praw konsumentów i są przeciwne takim regulacjom.

CO ROBIĆ?

Do lipca 2006 r. w Polsce nie istniała ŻADNA organizacja, partia czy też instytucja, która opowiadałaby się za zmianami prawa autorskiego na korzyść twórców (nie wydawców) i ich odbiorców. Jedyne urząd, który co jakiś czas opowiadał się za prawami konsumentów, to UOKiK. Reszta, zwłaszcza MSWiA oraz ZUS, nie chcą słyszeć o pluralizmie w rozwiązaniach informatycznych, a lobby medialne skutecznie prze do przodu ramię w ramię z Ministerstwem Kultury w celu zdławienia dozwolonego użytku oraz domeny publicznej.

Pod koniec lipca 2006 r. powstał załączek Partii Piratów (PP) w Polsce. Ruch narodził się w Szwecji dwa lata temu. Dzięki internetowi, podobne inicjatywy jak szwedzka zaczęły wyrastać niczym grzyby po deszczu. Aktualnie istnieją już 4 partie oraz 15 jest (tak jak w Polsce) w trakcie tworzenia. Aktualnie jedyne co można zrobić, to zebrać pozywanych i zastraszanych ludzi w jedną grupę i spróbować walki o swoje prawa, takie jak dozwolony użytek i domniemanie niewinności (które jest niszczone wskutek zastraszania). Partia Piratów koordynuje też wstępną pomoc prawną pozywanym do sądów.

Ważne są trzy aspekty, które mogą cokolwiek zmienić w wyżej opisanej sytuacji:

- Zmiany legislacyjne, czyli projekty obywatelskie i obecność w parlamencie ludzi, którzy zadbają o ich przyjęcie.
- Edukacja – konsumentów, w celu zmniejszenia skali łamania licencji na oprogramowanie, oraz artystów, aby znali swoje prawa wobec organizacji zbiorowo zarządzających prawami autorskimi i wytwórni płytowych.
- Zmiany w administracji publicznej – aby posługiwała się otwartymi standardami wymiany np. dokumentów, aby obywatele nie byli skazani na kupowanie drogiego oprogramowania lub jego kradzież.

Potrzebne są zatem dwie organizacje. Jedna to partia polityczna, w celu dokonania zmian prawnych, oraz pilnowania administracji. Druga to organizacja pozarządowa, która zajęłaby się edukacją.

Na szczęście społeczność polskiego Internetu nie śpi. Pojawiają się takie inicjatywy, jak list przeciwko DRM w Polsce (<http://list.7thguard.net/>) czy wspomniana Partia Piratów (www.partiapiratow.org.pl).

Autorstwo: Błażej Kaczorowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

POSTSCRIPTUM

Ostatnio, z uwagi na zadania jakich się podjąłem (jestem jednym z założycieli PP w Polsce), dostaję wiele informacji od ludzi, których dopadła machina egzekucji praw „własności intelektualnej”. Oto jeden z listów, który mnie poruszył (bardzo wiele jest podobnych):

„Moja historia zaczęła się tak: W 2003 r. uległem córce kupując konsolę playstation. Wtedy nie miałem jeszcze komputera i moja wiedza na ten temat była równa zeru, tj. byłem przekonany, że do konsol wchodzi płyty PC. Niestety nie wchodziły. Zacząłem więc w legalnych sklepach szukać płyt do konsoli. Znalazłem dwie i to wszystko, ponieważ konsola była już przestarzała (w takim razie, jakim prawem były w sprzedaży). Ktoś mi powiedział, że można zamówić płyty z gazety. Tak też zrobiłem. Jakież było moje zdziwienie, gdy na początku wiosny 2005 r. przyszło do mnie dwóch policjantów z nakazem rewizji. Jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy powiedzieli mi, że chodzi o pirackie płyty. Panowie byli nawet grzeczni, nie zrobili rewizji jak te z amerykańskich filmów, tylko poprosili, abym im wydał wszystkie płyty i tak też zrobiłem, od razu zabrali mnie na komisariat, gdzie złożyłem wyjaśnienia. I na tym koniec, aż do 6 listopada br., kiedy listonosz przyniósł mi wezwanie na komendę, i znowu nawał myśli, o co chodzi. Pragnę podkreślić, iż nigdy wcześniej nie miałem zatargów z prawem, dlatego ta sytuacja kosztuje mnie dużo zdrowia, nie wspominając o stresie. Pracuję jako maszynista PKP i zamiast myśleć, jak szczęśliwie dowieźć ludzi do celu, ja myślę dlaczego robi się ze mnie kryminalistę i jak ten horror się skończy. Zapomniałem dodać, że dziś przedstawiono mi zarzuty i od dziś (to jakaś paranoja) jestem podejrzanym. Myślę, że sprawa skończy się w sądzie i na pewno dawała mi jakąś olbrzymią karę, a wtedy nie wiem kto wyżywi dwójkę moich dzieci, jestem jedynym żywicielem rodziny. Dlaczego oni mi to robią, ja już jestem strzępkiem nerwów, tak się nie da żyć. Czuję się, jakbym kogoś zamordował. Prawdziwi

bandyci są bezkarni a uczciwych ludzi się czepiają, bo tak najprościej, bo nie trzeba zza biurka wyłazić i wiedzą, że takie ofiary jak ja są bezbronne. Proszę doradźcie mi jak mam się bronić, co robić?”.